

Wywiad z Wojciechem Tomczykiem: Błazny w domu żałoby

Polityka nie jest w „Zaręczynach” obecna bardziej niż w naszym codziennym życiu, niż w tej chwili, gdy przychodzi nam poznać drugiego człowieka, Polaka innego niż my



Polityka nie jest w „Zaręczynach” obecna bardziej niż w naszym codziennym życiu, niż w tej chwili, gdy przychodzi nam poznać drugiego człowieka, Polaka innego niż my - przeczytaj wywiad Roberta Mazurka z Wojciechem Tomczykiem, autorem "Zaręczyn", który ukazał się w Rzeczyspolitej 8 maja 2015 r.

Rzeczyspolita: Gorąca walka o prezydenturę, środek narodowego konfliktu, a pan o pojednaniu. Kochajmy się?

Wojciech Tomczyk: „Wesele” było, „Ślub” był, to napisałem „Zaręczyny”.

Komedię z happy endem.

Komedia jako taka powinna mieć wydźwięk optymistyczny. Za tydzień, w poniedziałek, 18 maja, pokaże ją Teatr Telewizji, będzie można ją ocenić.

Jak zawsze u pana nawet jak komedia, to z polityką i historią w tle. Ale nie o wyborach.

Polityka nie jest w „Zaręczynach” obecna bardziej niż w naszym codziennym życiu, niż w tej chwili, gdy przychodzi nam poznać drugiego człowieka, Polaka innego niż my.

Czyżby? Niech pan poczyta sztuki innych autorów: tam nie ma agentury, nierozliczenia z przeszłością, podziałów na PiS i Platformę...

Ja już dawno zauważyłem, że zdolniejsi koledzy piszą o tym, co naprawdę ciekawe: onanizm, sodomia, przemoc, kazirodztwo, blokowiska...

Tylko brać przykład.

Oni napisali już prawdę o Polsce, więc dla mnie, człowieka niezdolnego, zostało grzebanie się w historii i opisywanie rzeczywistości. Takie rzeczy zostają dla frustratów bez polotu.

A serio?

Jakoś tak się składa, że moje scenariusze są realizowane, a sztuki wystawiane, więc wpływ historii na nasze życie czy niszczący wpływ polityki jest dla ludzi ważny.

Podejmowanie takich tematów to pański znak szczególny.

Naprawdę nie jestem wyjątkiem, tak pisze cały świat! Ile minęło od upadku Lehman Brothers do nakręcenia „Chciwości”? Półtora roku, dwa lata? W Holandii już powstają sztuki o zestrzelonym samolocie. To tylko w Polsce nie ma tej tradycji.

Może ludzie nie chcą chodzić na dramaty?

Niech pan spojrzy na listę najbardziej kasowych filmów polskich, jak nie powstanie warszawskie, to samobójstwo w „Jestem bogiem” czy Żydzi ocaleni w piwnicy w filmie Agnieszki Holland. Z komedii uratowała się jedna – „Listy do M.”. To dowodzi, że ludzie właśnie chcą chodzić na filmy serio, a komedyjki ich nudzą.

Ale filmu o Smoleńsku nie ma. Po pięciu latach.

Powstaje film Krauzego i pewnie w końcu powstanie. Ma szansę być przebojem.

To czemu inni uciekają od tego tematu? Polityka?

Mam dokładnie odwrotny ogląd: moim zdaniem wszystko jest przeniknięte smoleńską traumą.

Żyje pan w jakiejś równoległej rzeczywistości. Gdzie ma pan choćby aluzje smoleńskie?

Utkane są nimi nagradzane przez władze spektakle teatralne. Klata zrobił w Bydgoszczy powszechnie krytykowanych, żenujących „Szwolęzów” o żużłowcach, gdzie mówi się wprost, że Smoleńsk jest dowodem polskiego szaleństwa takim samym jak jazda na żużlu. I że przecież na żużlu ginie co roku trzydziestu chłopaków – tam są takie kocopały!

Klata jest teraz szefem Starego Teatru w Krakowie.

No i niech pan sam sobie odpowie, czy się nie opłaciło. Niech pan mi nie każe komentować takich rzeczy.

Wracając do Smoleńska...

To po nim wpuszczono błaznów do domu żałoby. Zrobiono to całkowicie celowo, by szydzili ze zmarłych.

To czemu pan się tym tematem nie zajmie?

Nie jestem gotowy, ale pewnie nie ucieknę od tego. Dla mnie Smoleńsk był tak bolesnym przeżyciem, traumą tak wielką, że będzie naznaczał moją twórczość na zawsze. Straciłem w jednej chwili kilku znajomych, straciłem elitę swego kraju! O tym nie da się zapomnieć.

A jednak przez lata...

...Żyłem tym i we wszystkim jakiś ślad to zostawia. Napisałem przecież „Bezkrólewie”.

Pełną aluzji próbę sportretowania Polski po Smoleńsku.

Smoleńsk brutalnie zakończył czas panowania w Polsce króla Jana Pawła II. To nie jego śmierć w kwietniu 2005 roku, ale katastrofa w kwietniu 2010 roku definitywnie kończy tę epokę. A był to czas niezwykły, czas wielkiego odrodzenia narodowego, podnoszenia się z kolan, łamania ograniczeń. I nie mówię tylko o wyzwoleniu się z zależności od Rosji, ale o wielkim zrywie moralnym.

Naprawdę to był tak wielki zryw?

To zupełnie oczywiste. To był czas odzyskiwania narodowej dumy, podniesienia głowy, pierwszy tak długi od czasów saskich, a już na pewno od wojny.

„Bezkrólewia” jednak nikt nie wystawił.

Jestem przekonany, że czas „Bezkrólewia” przyjdzie. A czemu tego nie wystawiono, nie wiem. W Teatrze Telewizji nawet mówili, że są zainteresowani, ale uznali, że sztuka jest zbyt nowoczesna, cokolwiek to znaczy.

Co zaszkodziło „Bezkrólewiu”?

Odczytywano to jako atak na władzę i słyszałem, że żywioł satyryczny zdominował mnie i zamazał wyraz tej sztuki. Ja tymczasem nie wyobrażam sobie, by mogło istnieć normalne i zdrowe społeczeństwo, w którego teatrze nie odbywałaby się refleksja nad jego losem.

Ale istnieje, tyle że w dziełach poważnych. Pan chciałby to włączyć do kultury masowej, do komedii?

Oglądałem nie tak dawno współczesną polską komedię, w której zupełnie serio i skądinąd ciekawie opowiedziane było o wojnie domowej w Hiszpanii jako o doświadczeniu przodka bohatera. I co,

o tym wolno? A o tym, co się działo z naszymi rodzinami, z rodzinami 99 proc. Polaków, których dziadkowie nie byli dąbrowszczakami, opowiadać nie można, nie wypada?

Można, tylko scenarzyści tego nie robią. Czemu?

Najważniejsze wydaje się pokazanie wszystkim, że Polska jest takim samym krajem jak inne – pijemy espresso, jadamy sushi, interesujemy się tym, co wszyscy. Można do nas przyjechać i się przekonać, bo, podobnie jak wszyscy, mamy autostrady. Udajemy, że żyjemy jak w całej reszcie Europy.

Nie tyle udajemy, ile aspirujemy do takiego modelu życia.

To imitowanie normalnego kraju było uzasadnione w komunie, lecz jest obecne i teraz. Jest coś takiego, co nazywam przekleństwem Salonu Warszawskiego, tej sławnej dyskusji między klasykami a młodzieżą: „Czemuż to o tym pisać nie chcecie, panowie?”. Jest wiele głosów, że w Polsce nic na serio nie powstanie ani dla filmu, ani dla teatru, co najwyżej w powieści. Polskie problemy są od dwustu lat najlepiej opisywane w literaturze emigracji, a w kraju powstaje mało co.

Może ludzie potrzebują tej imitacji, ucieczki w świat nierzeczywisty? Niech pan spojrzy na TVN-owskie seriale, które dzieją się w świecie warszawskich burżujów.

Takie produkcje to co innego, mówię o twórczości, która ma większe ambicje. Nawet ona imituje, ucieka w sztuczność, bo chce za wszelką cenę być uniwersalna. A to absurd, bo widza za granicą może zainteresować tylko to, co jest u nas specyficznego. Za granicą największym echem odbiły się moje dwa utwory – „Sprawiedliwi”, czyli serial o Polakach ratujących Żydów, oraz „Norymberga”. Zresztą „Norymberga” wystawiana w większości krajów Europy Wschodniej pokazała, że tamte kraje nie znalazły sposobu na rozliczenie się w literaturze czy na scenie z przeszłością.

Oglądali „Norymbergę”, bo była o nich?

Tak, to wzbudzało duże zainteresowanie.

A jak odbierano by to na Zachodzie, w świecie, który nie znał komunizmu?

Najdalej w rozliczaniu komunizmu poszli Niemcy w „Życiu na podsłuchu”...

...Filmie, w którym agent Stasi przeżywa przemianę i broni kosztem kariery śledzonego pisarza? Wolne żarty.

Oni dalej nie pójdą, na nic odważniejszego się nie zdobędą i dlatego chcą, byśmy to my im opowiedzieli o komunizmie, nawet jeżeli trudno im to pojąć. Mają z tym zresztą poważniejszy, niż nam się zdaje,

problem moralny, czyli pytanie, dlaczego tak długo na to pozwalali. Jednocześnie nawet jeśli nie rozumieją naszej, to swoją historią się zajmują. Bo wie pan, co nas naprawdę różni od Europy? To, że w Belgii, Holandii czy Irlandii ich historia nie jest zakazana nawet w komedii. Wystarczy pójść do dowolnego teatru w Irlandii, by się dowiedzieć, że IRA i wszystko inne jest kanwą komedii, dramatów, nawet fars.

U nas była komedia „Rozmowy kontrolowane” o bardzo ważnym momencie w naszej historii.

Chęciński obśmiewał jednak świat definitywnie zamknięty.

Bo zjadliwa komedia o lemingach i moherach nie rozbawiłaby ani jednych, ani drugich.

Można zrobić komedię o moherach i wtedy nawet znalazłyby się pieniądze na jej realizację, albo o lemingach, która zapewniłaby popularność na prawicy, choć nikt by jej nie zrealizował. Tylko że to mnie w ogóle nie interesuje.

A komedia o wspomnianym Smoleńsku?

Nie wyobrażam sobie, że mógłbym pójść na komedię o takiej tragedii.

A „Życie jest piękne” Benigniego? Komedia o Holokauście...

Czym innym jest ciepły, wzruszający film pokazujący ludzi w sytuacji granicznej, nawet tak upadlanych jak Żydzi w czasie Zagłady, a czym innym kpiny czy szyderstwo ze śmierci.

No tak, pan w gruncie rzeczy pisze westerny.

Ja piszę westerny?

Klasycznie zarysowany podział na dobro i zło, a nawet to dobro jest dobre i czasami zwycięża, bohater pozytywny i negatywny...

Hm, cały świat istniał z podziałem na dobro i zło. To podstawowa dystynkcja w postrzeganiu rzeczywistości.

To już jest. W najmodniejszych serialach w zasadzie nie ma dobrych bohaterów.

Nie polemizuję z trendem w Hollywood czy w wypasionych amerykańskich serialach, które mają zresztą tę cechę wspólną, że są znacznie za długie. Publiczność jest inżynierem Mamoniem i lubi to, co już zna, więc zupełnie niepotrzebnie powstają kolejne serie. „Breaking Bad”, nie zachwyił mnie w ogóle.

Kazik Staszewski jest jego wielkim admiratorem. Mnie się nawet podobał, ale w gruncie rzeczy jest straszny.

Jest odpychający, a ja mam dodatkowy problem, bo byłem z synem na „Godzilli”, gdzie drugoplanową rolę gra główny bohater z „Breaking Bad” i tak źle grającego aktora nie widziałem nigdy.

Jest pan ciekawy świata?

Jestem.

A ma pan przyjaciół głoszących inaczej niż pan?

Mam niewielu prawdziwych przyjaciół, ale jeśli już, to albo nie głoszą wcale, albo głoszą jak ja. Po wielu latach trenowania podziałów nauczyliśmy się tak żyć, by nie stykać się z ludźmi, którzy myślą inaczej niż my.

Pan się z nimi nie styka?

Prawie nie.

Zamyka się pan w gronie tych, którzy myślą identycznie jak pan?

Nie szukam celowo tych, którzy myślą odmiennie, ale przecież często stykamy się z ludźmi, o których nie wiemy na dzień dobry, jacy są.

A jak pan ich spotka, to nie pyta, czemu są po drugiej stronie barykady?

Takie pytanie zakłada szczerłość komunikacji, która w Polsce nie jest przyjęta – sto lat zaborów, okupacja plus pięćdziesiąt lat komuny oduczyły nas mówić do siebie szczerze o swoich poglądach. A skoro z sobą otwarcie nie rozmawiamy, to żyjemy w czarnej legendzie, widzimy drugą stronę jako ludzi oszalałych.

Pana zdaniem to nie dzieło Kaczyńskiego i Tuska?

Ten podział sięga czasów saskich, doskonale jest opisany już w „Panu Tadeuszu”. To podział na tych, którzy uważają, że życie jest gdzie indziej, a Polska jest tylko mizerną kopią tamtego świata, oraz Polaków rdzennych, zakorzenionych, sarmackich.

Rozumiem, że pan jest ten sarmacki. Nie ciekawi pana, jak myślą ci inni?

Ciekawi mnie i dzięki temu byłem w stanie napisać „Zaręczyny”. Miałem bardzo ciekawe doświadczenie – po kilku latach, może nie przyjaźni, ale znajomości z człowiekiem, którego szanuję i lubię, przyszły wybory. Za zupełnie oczywiste uznałem, że głosuje tak jak ja, tymczasem on wybierał dokładnie przeciwnie!

Skąd myśl, że głosuje jak pan?

We wszystkim się zgadzamy: obaj lubimy Niziurskiego i obaj uważamy, że w Polsce nie dzieje się najlepiej, widzimy, że nie najlepiej żyje się zarówno niedużym przedsiębiorcom, jak i niezależnym artystom. Im dłużej rozmawiamy, tym więcej punktów wspólnych.

Gdzie różnica?

Nigdzie, poza tą, że on lubi władzę, a ja nie.

Może podzieliły was wybory ideowe? Jeden jest konserwatystą, drugi liberałem?

Tu również między nami nie ma najmniejszych różnic.

Słowem, zgadzacie się ze wszystkim?

Owszem, a jak przychodzi do wyborów, to głosujemy inaczej. To mi pokazało, że jest silne grono ludzi nie tylko o podobnych upodobaniach estetycznych, jak wspomniany Niziurski, ale i podobnym oglądzie rzeczywistości, którzy jednak wybierają inaczej.

„Zaręczyny” są z polityką w tle, ale nie są polityczne. Chce pan od tego uciec?

Skądże znowu, mam na warsztacie serial kryminalny, bardzo odległy od „Oficera”, choć na serio. I tam jest historia, choć nie ma polityki, bo piszę o polskim terrorze indywidualnym, czyli zabijaniu przeciwników politycznych. W XIX wieku, gdy ktoś ginął w zamachu, szukano Polaka, tak jak dziś szuka się Araba.

Pisze pan o XIX wieku.

Nie, o XXI wieku.

Mamy w tej dziedzinie jakieś osiągnięcia czy to czysta fantazja?

W takich kwestiach nie możemy mieć pewności.

Myśli pan, że taki happy end jak w „Zaręczynach” jest możliwy? Że uznamy, iż możemy się różnić, ale nie musimy sobie do oczu skakać?

Nie tylko jest możliwy, ale i konieczny.

I kolejną rocznicę 10 kwietnia będziemy obchodzili wspólnie?

Akurat to jestem sobie w stanie bardzo łatwo wyobrazić i to w perspektywie mojego życia, a przecież jestem już starszym człowiekiem. To się odmienia bardzo szybko. Gdzie są ci ludzie, którzy sikali na znicze i robili krzyże z puszek po piwie Lech?

Dominik Taras trafił, zdaje się, do więzienia.

Straszliwa niesprawiedliwość! To był idol tego środowiska.

Dla szefowej TVP Kultura symbolizował „twarz Polski uśmiechniętej”.

Teraz tylko ona została.

Sikanie do zniczy nie wywołuje także mojego uśmiechu.

Ale musimy zacząć pogodnie mówić o swoim życiu, bo zwariujemy. Tak samo powinniśmy mówić o polityce czy o tym, co nas spotyka – nie ironicznie, ale pogodnie. Choćby to, co nas spotyka, wydawało nam się bardzo złe, to musimy się z tym pogodzić. Takie jest życie i nie ma żadnego powodu, byśmy mścili się na naszych rodakach. Bo to nie oni są winni naszych opresji.

Wojciech Tomczyk, którego znałem, był gorzkim ironistą. A teraz, proszę bardzo...

Ponieważ już nie jestem młodym twórcą, to nie oskarżam całego świata o to, że jest okropny i zły. Dostrzegam, że bywa pogodny, czasem zdarza się wiosna i dobre rzeczy. Wierzę w zwycięstwo dobra.

Mówiłem: westerny.

Ale nawet jeśli dobro nie zwycięża od razu, to nasze staranie o to czyni świat lepszym. Owszem, świat schodzi na psy, ale nie trzeba mu w tym pomagać.

Wojciech Tomczyk jest autorem lub współautorem scenariuszy m.in. do filmów „Katyń”, „Spona” i „Czarne słońca” oraz autorem dramatów, m.in. „Dolina nicości”, „Inka”, „Norymberga”

Wywiad Roberta Mazurka z Wojciechem Tomczykiem ukazał się na łamach Rzeczypolitej 8.05.2015 r.

Przeczytaj także:

tekst Dariusza Karłowicza "Jeszcze raz o *Zaręczynach*",

jego felieton o sztuce wystawionej przez Wojciecha Tomczyka,

dowiedz się również, jak było na ich prapremierze.